



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XX
LONDYN—PARYŻ

SYRENA

NR 43/956 (562) CZWARTEK 27 października 1960

AMERYKANIE ZA UZNANIEM POLSKICH GRANIC ZACHODNICH

Na zebraniu Amerykanów polskiego pochodzenia w Buffalo w dniu 17 bm. wiceprezydent Nixon złożył następującą, ważną deklarację:

„W wyniku układów w Teheranie i Jałcie Polska pozbawiona została nie tylko wolności ale także swych wschodnich obszarów. Miliony ludzi, którzy uniknęli Syberii zostali zmuszeni do wędrówki setki mil na zachód, aby odbudować swe domy i rozpocząć nowe życie na obecnych obszarach zachodnich.

To jest fakt powojennej historii. Innym faktem dotyczącym tych zmian terytorialnych jest to, że wszyscy Polacy w Polsce jak i poza jej granicami są zjednoczeni w swej stanowczej woli ob-

rony nowej granicy zachodniej. Te fakty muszą w sposób nieunikniony wpłynąć na stanowisko mocarstw zachodnich zwłaszcza, że Polska jest największym naturalnym sprzymierzeńcem Zachodu wśród państw opanowanych przez komunistów a także, jak sam to widziałem, jednym z najbardziej antykomunistycznych narodów świata.

Jest więc rzeczą nagłą, aby przysłał rząd sturmował i realizował swą politykę tak, aby przyczynić się do utrzymania nadziei i wzmacnienia ducha i żywotności narodu polskiego.

Amerykanie nie powinni zrobić nic takiego, co by mogło narazić na szwank podstawowe interesy narodu polskiego. Wręcz przeciwnie; należy zrobić wszystko, co możliwe, aby poprzeć nieugięte żądanie Polaków którzy chcą być znowu gospodarzami we własnym domu.

UMOWA O ODSZKODOWANIU DLA KACETOWCÓW

W związku z wiadomościami o podpisaniu przez Wysokiego Komisarza i rządu N.R.F. umowy w sprawie odszkodowań dla tzw. narodo-wo-prześladowanych uchodźców, których większość stanowią Polacy — Zarząd Związku b. Więźniów Politycznych w Londynie otrzymuje wiele listów i zapytań. Nie mając możliwości odpowiadania na każdy z tych listów indywidualnie, Zarząd Związku zawiadamia, że przedstawił Zarządowi oraz członkowi lub delegatowi Komisji Prawniczej przyjmować będą począwszy od 1 listopada wszystkich zainteresowanych w piątki każdego tygodnia od godz. 6 — 7 oraz w soboty od godz. 3 — 4, (18, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7 — Dom SPK.)

Zarząd prosi wszystkich swych członków o podanie listownie aktualnych adresów dla należytego utrzymania kontaktu. Członkowie i zainteresowani w sprawie odszkodowań mogą osobiście lub korespondencyjnie porozumiewać się z Zarządem i Komisją prawniczą Związku dla uzyskania dalszych wyjaśnień.

Zarząd Związku postanowił zwołać w możliwie rychłym terminie zebranie informacyjne, które poprzedzi zwołanie później Walnego Zebrania, by dać możliwość wszechstronnego udzielenia komentarzy i wyjaśnień w nowej sytuacji, wytworzonej podpisaniem umowy. Terminy zebrań ogłoszone będą w całej prasie.

W następnym numerze „Orla Białego” podamy wywiad z p. mec. M. Chmielewskim, przewodniczącym komisji prawniczej Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych. W wywiadzie tym omówiona będzie umowa Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych dla uchodźców dr A.R. Lindt'a z Genewy z przedstawicielem rządu zachodnio-niemieckiego p. Carstens'em, podsekretarzem stanu urzędu spraw zagranicznych.

NOWE ZMIANY W PROGRAMACH SZKOLNYCH

W miesiącu wrześniu b. r. wprowadzono w szkołach ogólnokształcących w Polsce nowe zmiany w programach nauczania. W programach tych główny nacisk położony został na „dalszym umacnianiu socjalistycznego kierunku wychowania”. Poza tym zarówno w szkołach podstawowych jak i średnich „część czasu przeznaczoną na prace ręczne poświęcać się będzie organizowaniu różnego rodzaju prac społecznych”.

Nowe programy wprowadzają obowiązek zaznajamiania się młodzieży licealnej z wybranymi zagadnieniami z elektrotechniki, motoryzacji, obróbki materiałów, gospodarstwa domowego itp. W klasach 10-tych szkół ogólnokształcących wprowadzono zostanie od półrocza b. r. propedeutyka filozofii. Przedmiot ten zawierać będzie elementy etyki, religioznawstwa i logiki. Przygotowany został także „nowy program nauczania języka rosyjskiego” oraz biologii.

(FEC)

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ W OCZEKIWANIU NA NOWEGO PREZYDENTA

POWAŻNY tygodnik londyński „Economist” uznał, że „doroczna konferencja państw Przymierza Atlantyckiego w grudniu będzie najbardziej burzliwą i krytyczną w historii tego sojuszu”. Uwagę tę pismo uczyniło w związku z omawianiem narady, która odbyła się w Chequers w obecności premiera, wielu ministrów brytyjskich i dowódców armii, marynarki i lotnictwa. Jak się okazało, tematem obrad było stanowisko dowódców sił zbrojnych, którzy zgodnie oświadczyli, że nie mieszczą się już w ramach budżetu obrony narodowej, czyli 1.600 milionów funtów na rok 1961/62 siłom zbrojnym nie wystarczy. Wszystkie trzy rodzaje broni przedłożyły wnioski, idące w kierunku dalszego wzmocnienia siły ognia oraz udoskonalenia uzbrojenia.

Wraz ze spuszczeniem na wody pierwszego brytyjskiego atomowego okrętu podwodnego „Dreadnought” jest to jeszcze jeden dowód, że czynnik odpowiedzialny za politykę państwa w szczególności, a krajach uchłonięte są skomplikowanymi zagadnieniami, jakie wysuwają dziś przygotowania wojenne. Wszystko to przeczy powierzchownym głosom o „koegzystencji pokojowej” i o możliwości jakoby wojny.

WBREW tym nieopatrzny sądom, sprawa zbrojenia wysuwa się dziś na czoło polityki światowej i wywołuje przeróżne powikłania, co widzimy na terenie Francji. Postawiony przez rząd p. Debré plan utworzenia własnej potężnej siły uderzeniowej francuskiej (la force de frappe), zaopatrzonej we własne bronie atomowe wywołał ostre sprzeciw w parlamencie francuskim, zarówno ze strony lewicy jak i prawicy. Wzbudził też szereg nieporozumień w ramach Przymierza Atlantyckiego. Opozycja we Francji wzrosła wskutek jednoczesnego rozwinięcia dawnego planu gen. Norstada utworzenia atlantyckiej zespolonej siły uderzeniowej, zaopatrzonej w bronie atomowe, oddane do dyspozycji NATO. Użyte broni atomowej byłoby w tym wypadku zależne już nie od prez. Stanów Zjednoczonych, ale od gen. Norstada, względnie jego następcy, działającego w porozumieniu z wszystkimi państwami atlantyckimi. Między planem francuskim a projektem gen. Norstada istnieje oczywiście nieukrywana sprzeczność. Jeden plan wyłącza drugi i to jest powodem komplikacji.

W parlamencie francuskim protestowali przede wszystkim zwolennicy idei europejskiej, idei scalenia pod względem politycznym i wojskowym państw europejskich pod egidą Fran-

cji, współpracującej z Niemcami. Na czoło wysunął się sędziwy b. premier Reynaud, dawny przyjaciel gen. de Gaulle'a, niegdyś jedyny polityk o znanym nazwisku, który poparł całkowicie, jakże słuszne i przewidujące plany zmotoryzowania armii francuskiej przed II wojną światową, przedłożone przez pułkownika Charles de Gaulle'a, lecz nie uwzględnione przez ówczesne naczelné dowództwo. Dziś stosunek obu tych mężów do siebie się zmienił.

nie sposób w tym zestawieniu wyliczyć szczegółowo argumentów wysuwanych przez rząd francuski i roznamietanych oponentów. Sfery opozycyjne twierdzą, że wykonanie planu p. Debré kosztowałoby budżet 1.200 milionów dolarów i przekroczyłby możliwości Francji, która nie będzie mogła doścignąć nawet Anglii. Zresztą przykład angielski zamachania budowy własnego pocisku rakietowego

NA DZIEŃ ZADUSZNY

LORETO

Napisał Alfons Bronarski

ZNALAZŁSZY się w połowie sierpnia we Włoszech, udałem się do Loreto, gdzie ostatni raz byłem przed wojną. Odświeżając dawne wspomnienia, m.in. związane z piękną polską kaplicą w bazylice Matki Boskiej, zwiędziłem drogi sercom polskim, cmentarz wojenny Żołnierzy 2-go Korpusu, jak głosi napis w trzech językach u jego wstępu. Powstał on w związku z ofensywą zwycięską Aliantów z końcem wojny, w której 2-gi Korpus Polski pod dowództwem generała Andersa tak świetnie karty wpisał w dzieje wojskowości polskiej. Cmentarz leży na stoku wzgórza wznoszącego się majestatycznie nad morzem i ukoronowanego wspaniałą bazyliką Matki Boskiej, znaną w całym świecie chrześcijańskim. Piękny to cmentarz, jeden z najbardziej malowniczych jakie znam, a wzruszający dla każdego Polaka, który go zwiedza, i przyciągający również wielu Włochów i cudzoziemców, tłumnie nawiedzających Loreto. W całości robi on wrażenie monumentalnej, w pomysłach szczęśliwie skonstruowanej nekropolii. Grobów jest 1074 rozmieszczonych geometrycznie na kilku tarasach, stopniowo obniżających się na pochyłości wzgórza. Wejście główne znajduje się od strony morza błękitniejącego w oddali, a stanowią je okazała brama żelazna z figurą Chrystusa dzwigającego krzyż, wzorowaną na znanym posągu przed kościołem św. Krzyża w Warszawie. U schyłku cmentarza znajduje się kaplica z ołtarzem, który zdobi medalion Matki Boskiej ostrobramskiej rzeźbiony w marmurze. Tutaj odbywają się nabożeństwa, zwłaszcza w Dzień Zaduszny, w obecności Biskupa Loreto. W połowie mniej więcej cmentarza ustawiono marmurowy cokół z wykutymi w

zgodzenie się na kupno amerykańskiego „Skybolta” jest dość wymowne. Opozycja francuska twierdzi też, że projekt gotów osłabić Przymierze Atlantyckie. rozluźnić jego szeregi i odosobnić Francję. Da on poza tym Niemcom argumenty do utworzenia własnej niemieckiej atomowej siły uderzeniowej w oparciu o wynalazek

(Dokończenie na str. 8)

W TYM NUMERZE DODATEK SPECJALNY



kamieniu nazwami miejsc związanych z epopeją 2-go Korpusu: Linia Gotów, Ancona, Metauro, Loreto. Wyrasta z niego słup przeznaczony na zawieszenie flagi narodowej. Wzdłuż głównej drogi przecinającej cmentarz rozmieszczono w równych odstępach latarnie w kształcie płomieni. Groby podzielono symetrycznie na kilka sekcji, stosownie do wyznania poległych, przy czym nie zapomniano i grobu Nieznanego Żołnierza. Mamy więc oddział żołnierzy wyznania moźeszowego, muzułmańskiego, ewangelickiego i prawosławnego. Olbrzymią większość stanowią oczywiście groby żołnierzy katolików, wszystkie jednakowe, składające się z prostego krzyża kamiennego i takiegoż obramowania odpowiedniego wymiarom trumny.

Znalazłszy się na tym cmentarzu, zwiędzający oczarowany jest piękną jego położeńią oraz otoczenia. Powyżej wznosi się wspaniała, imponująca kształtami Bazylika, zbudowana według planów wybitnych architektów m.in. Bramante'go; obok wyrasta jeden z nadbrzeżnych wznieścień Apeninów Monte Cònero, poniżej stoki wzgórza, na którym leży cmentarz, opadający łagodnie ku morzu z rozsiyanymi na nich drzewami oliwnymi i domami. Wszystko skąpane w promieniach złocącego cały ten uroczy krajobraz — słońca. A jednak nie wszystko na tym cmentarzu pozostaje w harmonii z jego zewnętrznym wyglądem. Wniknąwszy głębiej, widzi się różne braki. Na niektórych krzyżach napisy zaciera się, należało by więc je odświeżyć. Groby robią wrażenie zaniedbanych, w kamienym obramowaniu sucha ziemia nie wypełnia nawet dostatecznie przestrzeni. Z osiągniętych na miejscu

(Dokończenie na str. 8)

Oświadczenie wiceprezenta Nizona ma ogromne znaczenie. Pierwszy to bodaj raz zagadnienie Odrzy i Nysy znalazło w ustach czołowego amerykańskiego męża stanu właściwy wyraz. Jego słowa są zapowiedzią, że sprawa polskiej granicy zachodniej będzie musiała być załatwiona przez przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Byłaby ona prawdopodobnie już dawno rozstrzygnięta w duchu dla nas korzystnym, gdyby nie upór i fanatyzm polityków niemieckich, którzy z dodatku kierują się głównie przyziemnymi względami wyborczymi.

Także w Niemczech na szczęście odzywają się głosy rozumiejsze, dyktowane poczuciem sprawiedliwości i głębiej pojętą racją stanu. Takie stanowisko zajęli ostatnio kardynał-biskup berliński Döpfner i filozof Karol Jaspers. Kardynał Döpfner mówił o krzywdach, jakie Niemcy wyrządzili Polakom i o konieczności naprawienia ich czynem politycznym oraz ofiarą, które jedynie mogą zmasać zbrodnie. Jaspers mówił wprost o konieczności uznania przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie. Oby głosy tych dwóch światłych ludzi przycisnęły nawoływaną szalonych rewizjonistów niemieckich!

Prasa światowa zrozumiała wagę wypowiedzi Nizona. Niemieckie dzienniki uderzyły na alarm, uważając, że sprawa Odrzy i Nysy może być przegrana dla Niemców na granicy amerykańskim.

W londyńskim „Timesie” z dnia 25 bm. ukazał się jeden ze wstępnych artykułów, poświęcony zachodniej granicy Polski. Zdaniem tej gazety wypowiedź Nizona winna być do myślenia Niemcom. Pismo londyńskie uważa, że mimo atmosfery wyborczej, w której przemówienie było wygłoszone, myśli Nizona o polskiej granicy zachodniej, którą „Polacy w Kraju i za granicą zdecydowani są bronić”, musi być brana dosłownie. W przyszłości — powiada „Times” — będzie wiele trudniej dla Amerykanów oraz ich sprzymierzeńców twierdzić, że linia Odrzy i Nysy posiada charakter tymczasowy.

Po wypowiedzi generała de Gaulle'a za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, oświadczenie Nizona nadaje sprawie nowy, silny wyraz. W wielkiej rozgrywce ze światem komunistycznym Nixon zdobył się na posunięcie szczególnie nemile dla Sowietów, które starały się dawno, by Zachód nie odebrał im argumentu propagandowego, że one właśnie są jedynym mocarstwem, uznającym tę granicę. Dlatego też witamy z prawdziwym zadowoleniem wystąpienie, o które nawoływaaliśmy od tyłu lat.

Rząd sowiecki dał zresztą najechnąć wyraz swemu niezadowoleniu, ogłaszając komunikat agencji TASS, który pomniejsza znaczenie wypowiedzi Nizona i zapewnia Polaków, że Amerykanie są ich największymi wrogami!

Ciekawy jest ten wspólny język rewizjonistów niemieckich i komunistów moskiewskich w stosunku do objawów pozytywnego traktowania na Zachodzie granicy na Odrze i Nysie.

R. P.

KALENDARZ KOMBATANTA 1961
w reksynie 4/- (\$0.75) w skórcie 7/6 (\$1.25) z przesyłką

KALENDARZ POLSKI 1961
(w cenie 4/6 za egzemplarz)

Ukażą się w listopadzie br. Zamówienia przyjmuje już Gryf Publications Ltd., 169 Battersea Church Road, London, S. W. 11



Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S. P. K.

ZAROBKOWA CZY POLITYCZNA

NIEDAWNO zakończony Kongres Polonii Amerykańskiej w Chicago oraz masowa manifestacja, jaką się stała tegoroczna Parada Puławskiego w Nowym Jorku — były wydarzeniami, którym należałoby poświęcić nieco uwagi. Na inaugurację obrad Kongresu przybył prezydent Eisenhower i wygłosił przemówienie powitalne. Do Kongresu też przemawiał sen. John Kennedy, demokratyczny kandydat na urząd prezydencki. W ramach uroczystości ku czci Puławskiego w pochodzie przez ulice Nowego Jorku przemarszerowało 105 tysięcy Polaków, a według obliczeń policji 350-cio tysięcy rzesza oglądała tę imponującą manifestację. Gdy dodamy, że w tym samym czasie na bankiecie osiemdziesięciolecia Związku Narodowego Polskiego przemawiał podsekretarz stanu Douglas Dillon — będziemy mieli obraz wzrostu wpływów i znaczenia polonii amerykańskiej. Można, rzecz jasna, powołać się na popularność doszukiwać się w chęci kokietowania polonii amerykańskiej w związku z bliskimi wyborami Prezydenta Stanów. Ale nawet przyjęcie takiego punktu widzenia potwierdza wagę, jaką politycy amerykańscy przywiązują do milionów polskich głosów. Powody tej popularności zdają się jednak tkwić głębiej i wypływać ze stale wzrastającego znaczenia Amerykanów polskiego pochodzenia i całej polonii amerykańskiej w ogólnym publicznym życiu amerykańskim. To wzrastające znaczenie każe politykom amerykańskim wchodzić głębiej w problemy nurtujące tę dość liczną i na ogół zwartą grupę etniczną, reprezentującą w swych poglądach politycznych dużą zgodność opinii. Wyrazem tej zgodności poglądów były nie tylko uchwały powzięte przez Kongres Polonii, ale i napisy na setkach transparentów niesionych w czasie Parady Puławskiego, domagających się wolności dla Polski oraz bardzo nieprzyjemnych w tonie i treści wezwań do przymusowego gościa na ziemi amerykańskiej — Nikity Chruszczowa. W tym względzie Parada Puławskiego przypominała „młoczący marsz” polonii brytyjskiej w okresie wizyty Bułgana i Chruszczowa w Londynie.

Nie jest naszym zamiarem omawianie tutaj we wszystkich szczegółach problemów politycznych polonii amerykańskiej — pragnęlibyśmy jedynie w nawiązaniu do wspomnianych wydarzeń omówić niektóre metody działania politycznego na emigracji.

W poprzednim naszym artykule, zajmując się kwestiami organizacyjnymi dotknęliśmy problemu podziału na „starą emigrację” — zarobkową i nową emigrację czyli uchodźstwo polityczne. Podział ten ostro zarysowany w okresie powojennym — z biegiem lat zaczął się powoli zacierać, różnice niegdyś wydające się ostrymi — zaczęły tracić tę dawniejszą swą ostrość. Organizacje nowego uchodźstwa i poszczególne uchodźcy zaczęły wchodzić w ramy organizacji staropolonijnych i, jak to wyraźnie zarysowało się w Kanadzie, odgrywać w nich rolę równorzędną. Według dawniej obowiązującej nomenklatury proces ten powinien oznaczać „odpolitycznianie się” uchodźstwa wojennego i przechodzenie na pozycję emigracji zarobkowej. Wniosek taki byłby równie pochopny, jak i niesłuszny. Oznacza

on jedynie to, że utrzymywanie dawnych podziałów jest fikcją, za którą nie stoją realne fakty. Dziś już bez praktycznego znaczenia byłby podział przeprowadzany według kryterium zarobkowego, czy politycznego pochodzenia danych grup emigracyjnych. Zdarzają się bowiem wypadki, że ludzie, którzy z Polski wyjechali jedynie „za chlebem” pracują w szeregach organizacji polonijnych, nadając swej działalności silne piętno pracy politycznej na rzecz sprawy polskiej, jak i zdarzają się wypadki przeciwnie, że ludzie, którzy pozostali na obczyźnie z pobudek czysto politycznych, stali się zwykłymi zjadaczami chleba, stroniącymi od jakichkolwiek form polskiej pracy organizacyjnej, a odżegnywując się całkowicie od wszelkiej polityki. Masę emigracyjną stanowią ludzie łączący w sobie cechy emigranta zarobkowego ze świadomością pracy na rzecz społeczności polskiej i manifestujących swe przywiązanie do kraju, obojętnie czy zamierzają do niego powrócić, czy też pozostać za granicą. Jeśli nie jest to w czystej formie emigracja polityczna — to w każdym razie masa ta stanowi doskonałą bazę, na której oprócz można niepodległościową działalność polityczną. Jeśli weźmiemy pod uwagę choćby tylko te wydarzenia w życiu polonii amerykańskiej, o których wspominaliśmy na wstępie — stanowią one dostateczny dowód tego, że w swobodny sposób jest ona również emigracją polityczną — choć działającą z innej pozycji wyjściowej, niż na przykład uchodźstwo brytyjskie. Na czym polega ta odmiennostwo pozycji wyjściowej? Wcale nie na tym, że jedna jest z pochodzenia zarobkowa, a druga z pochodzenia polityczna. Różnica tkwi gdzie indziej, a mianowicie w tym, że polonia amerykańska w swej znakomitej większości to obywatele Stanów mający tam swe określone prawa i obowiązki obywatelskie, a uchodźstwo polskie w W. Brytanii to w swej masie uchodźcy, stojący obok życia kraju, w którym się osiedlili.

TA ODMIENNOŚĆ sytuacji formalno-prawnej ma swe praktyczne skutki. Polonia amerykańska działa wewnątrz układu państwowego, którego jest pełnoprawnym członkiem i z jej poglądami państwo musi, a w każdym razie powinno się liczyć jako opinia części swych obywateli. Jest to więc działanie od wewnątrz. Uchodźstwo takie, jak brytyjskie działa z innego punktu — od zewnątrz. Przemawia do sumienia czy zmysłu politycznego społeczeństwa, z którymi nie mają żadnych formalnych powiązań. Państwo osiedlenia i uchodźcy — to dwa ciała wzajemnie dla siebie obce choć nieraz przyjaźnie nastawione.

Powstaje teraz pytanie — które z tych stanowisk jest słuszniejsze i które korzystniejsze? Odpowiedź jest prosta — oba. Pod jednym jednak warunkiem, że między tymi dwoma stanowiskami panuje zasadnicza zgodność celów, wzmocniona uzgodnionym podejmowaniem wspólnych czy oddzielnych akcji. Ten moment wydawać by się mogło wyłącznie techniczny w naszym życiu publicznym wyrasta do problemu zasadniczego trudnego do znalezienia sensownych dróg jego rozwiązania. Nie jest zadaniem tego artykułu dawanie gotowych recept w tym zakresie. Sprawa jest w swej istocie zbyt skom-

plikowana i trudna — by ją można było zbywać kilku wyświechtanymi sloganami o zgodzie narodowej i solidarności działania. Życie idzie naprzód i stwarza coraz to nowe, na ogół coraz trudniejsze problemy do rozwiązania. Konieczność zwierania szeregów i łączenia wysiłków staje się nakazem chwili. W zakresie zadań praktycznych rysuje się konieczność jak najszybszego i jak najbardziej gruntownego zerwania z podziałem na t.zw. zarobkową i polityczną emigrację. Oba te odłamki są sui generis emigracją polityczną — działającą tylko z odmiennych pozycji. I ten moment, zdaniem naszym zasadniczy — pragnęlibyśmy wybić jako myśl zasadniczą tego artykułu. Zrozumienie tej rzeczy, miejmy nadzieję, może być krokiem wstępnym do usunięcia nie znajdujących potwierdzenia w realnych faktach podziałów na emigrację zarobkową i polityczną. Gdy naprawdę zrozumiemy fikcyjność tego rozróżnienia — unifikacja wysiłków przyjdzie nieporównanie łatwiej.

S. Lewicki

TEATR POLSKI W W. BRYTANII

Z DUMĄ myślę o jego przeszłości, ze smutkiem o teraźniejszości, z lękiem o przyszłości. Uważam jednak, że myśleć o nim muszę i innych do tego zachęcać, by nie zapadł na sen cichy, nieprzespany, z którego już nie ma ocknienia. Chciałbym, jeśli to tylko możliwe, „ożywić ogień, jeśli jest w iskiecie”, ogień nowej miłości do teatru polskiego na tych wyspach, bo dawniejszy wytłił się nieomal doszczętnie.

Zaczął się jak najlepiej. Teatr polski w W. Brytanii ocknął się stosunkowo bardzo szybko z powojennego chaosu i niemal z miejsca rozpoczął bujną działalność artystyczną, której znaczenie w owych trudnych chwilach ogólnej depresji psychicznej było niezwykle pozytywne. W pierwszych latach po wojnie działało w tym kraju równocześnie kilka zespołów poważniejszego repertuaru oraz teatrzyków rewiowych, obejmujących swym zasięgiem ogromną ilość skupisk polskich w Anglii i Szkocji. Powołany do życia Związek Artystów Scen Polskich z siedzibą w Londynie stawiał sobie za zadanie pieczęć nad należytym funkcjonowaniem naszego teatru na uchodźstwie.

Wkrótce jednak teatr ten wszedł na drogę ewolucji, która miała zażywać na jego przyszłości. Stosunkowo liczny na początku zespół aktorski zaczął się przerzedzać. Jedni odpłynęli na szlaki dalszej emigracji, spora liczba innych znalazła korzystniejsze warunki materialne w Radio Free Europe i BBC, wreszcie znaleźli się i tacy, którzy nie widząc dla siebie przyszłości na scenie, zdecydowali się na wybór innego zawodu zrywając zupełnie lub częściowo z występów w teatrze.

Z biegiem czasu proces ten pogłębił się do tego stopnia, że w ostatnich kilku latach nie było już prawie aktora, który by utrzymywał się wyłącznie z występów w teatrze. Konsekwencją tego stanu rzeczy, spotęgowanego starzeniem się i brakiem dopływu nowych sił, był powolny lecz stały rozpad polskiego teatru w tym kraju, proces, który trwa po dzień dzisiejszy i którego koniec może być tylko jeden.



Nasi holenderscy przyjaciele w Axel. Na zdjęciu od lewej do prawej: burmistrz m. Axel A. J. M. Kesbeke, red. B. Strenk, prezes Koła SPK we Vlissingen inż. J. Minkiewicz, wiceprezes Koła SPK, P. „Axel — Polen” D. J. Oggel. Stoją: drugi od lewej — sekretarz „Axel — Polen” J. C. Overdulve, drugi od prawej — sekretarz gminy P.G. van den Bosse, szósty od prawej (z krzyżem zasługi), A. Sheele, b. długoletni prezes „Axel — Polen”.

W miasteczku holenderskim Axel — wyzwolonym jak wiadomo przez oddziały 1 Dywizji Pancerniej — odbył się tradycyjny obchód wyzwolenia, zorganizowany przy ścisłej współpracy zarządu miejskiego, przez Towarzystwo „Axel-Polen” będące tam duszą wszelkich licznych propolskich poczynań.

Pomimo upływu lat, pamięć Polaków jest tam ciągle żywa i czczona — tak wzruszającym pietyzmem, jak chyba nigdzie na świecie. W ciągu ubiegłych szesnastu lat Holendrzy w Axel dali tego niejednokrotnie tak liczne dowody, że wyliczenie ich przekroczyłoby ramy obszernego artykułu.

Istotnie, Holendrzy w Axel oddali nam swe serca i przyjaźń. I dlatego

też Zarząd Krajowy SPK w Holandii — chcąc wyrazić im swą wdzięczność i uznanie — nadał 23 mieszkańcom m. Axel (w tym całemu zarządowi Tow. „Axel-Polen”) odznakę SPK i pamiątkowe honorowe dyplomy, których wręczenie odbyło się w dniu 17 września, w ramach dorocznego — szesnastego z kolei — obchodu wyzwolenia.

Przy tej okazji przypadł mi — jako przedstawicielowi zarządu krajowego SPK — zaszczyt wygłoszenia do odznaczonych przemówienia, w którym podkreśliłem ich zasługi dla realizacji przyjaźni polsko-holenderskiej.

A oto nazwiska naszych przyjaciół w Axel, którym wręzone zostały dyplomy i odznaki SPK:

C. van Bendegem, P. C. van den Bosse (sekretarz gminy), H. P. Dicleman, P. den Exter, A. J. M. Kesbeke (burmistrz), A. H. van der Lee, P. L. D. J. van Oeveren (były burmistrz), D. J. Oggel (prezes „Axel-Polen”), P. J. Olijsslager, R. A. Polfiet, dr G. C. Ramselaar, A. Reedijk, J. de Ruijscher, A. Scheele (b. prezes „Axel-Polen”), L. Scheele, C. J. Schieman (skarbnik „Axel-Polen”), C. Smies, J. P. Smies, J. C. Overdulve (sekretarz „Axel-Polen”), T. Tieleman, J. Verplanke, J. C. Vink (redaktor „Axelse Courant”), i J. C. Wicles.

Wręczenie odznak i dyplomów SPK było zakończeniem — finałem obchodu 16-rocznicy wyzwolenia m. Axel. Początkiem obchodu było przyjęcie i powitanie w ratuszu liczonej delegacji Koła SPK z Vlissingen przez burmistrza p. A. J. M. Kesbeke oraz prezesa „Axel-Polen” p. D. J. Oggela. Ze strony polskiej przemawiali: prezes Koła SPK inż. J. Minkiewicz oraz reprezentant gen. Maczka, p. S. Zajdenbajtel z Belgii. Następnie składano wieńce i kwiaty: najpierw na grobie pani Szydłowskiej (żony oswoobodziciela miasta), następnie na mogiłach poległych w walkach o Axel żołnierzy polskich, pod pomnikiem oraz u stóp krzyża polskiego nad kanałem Axel-Hulst.

B. Strenk

niezawodowego; d) wznowienie wy dawnictwa sztuk teatralnych.

Jest tu zadanie do spełnienia dla organizacji społecznych interesujących się życiem kulturalnym i prowadzących działalność na tym polu, dla ZASP-u oraz poszczególnych aktorów dla zrzeszeń studenckich, dla każdego, komu teatr polski leży na sercu. Słyszysz się często i jakże uzasadnione narzekania, że młodzież nasza po opuszczeniu szkół przedmiotów ojczyźnych (jeśli do nich uczęszcza), pozostaje bez rozsądnie zorganizowanej opieki kulturalnej, a w jeszcze mniejszym stopniu ma okazję do czynnego udziału w wyzwalaniu wartości duchowych własnego środowiska. Zbliżyć tę młodzież do teatru ojczyźnego, to niewątpliwa rękojma dłuższych lat polskości na tych wyspach.

A. Czulowski

Zełkim piórem

Dodatek do numeru 43/952 (652) z dnia 27 października 1960 roku

TEODOZYJA LISIEWICZ

SPOWIEDŹ

Fragment z książki „Dom nad Sanem“

Spowiedź odbywała się w izdebce przy kaplicy. Konfesjonał tworzyła z jednej strony wnęka, do której kapelan wchodził od zakrystji, z drugiej klęcznik w izdebce. Pomiędzy penitentką a spowiednikiem rozpięta była gruba fioletowa zasłona, by słysząc swoje głosy jedno drugiego nie mogło widzieć. Kapelana nie znałyśmy. Widywałyśmy go przy ołtarzu i w niedzielę podczas popołudniowych kazań. Mieszkał za murem i gospodarstwem jego zajmował się ogrodnik. Pierwszy kapelan, którego pamiętam, staruszek chyba siedemdziesięcioletni, bawił dość krótko. Może dlatego, że każdą spowiedź zaczynał od pytania: „A coście miały dziś na obiad?“ Następca jego, młody ksiądz, energiczny, spowiadał zwięźle, z wielką znajomością wieku cielecego trafiając zawsze w sedno sprawy. Kazanie nieprzekraczające dziesięciu minut wygłaszał tak interesująco, że przykuwał uwagę nawet hordy niedoroslých dziewcząt.

Z spowiedzią wiążą się dwa incydenty, z których pierwszy głęboko wrył mi się w pamięć. Do drugiego chóru zakonnego przybyły nowicjuszki. Zajął się nimi mądra, doświadczona siostra Erazma i w dzień spowiedzi zaprowadziła do kaplicy. Były to młode dziewczęta wiejskie, zaciszne w sobie, pełne spokoju jaki spływa na tego, kto znalazł już swoją drogę. Nosiły się z wielką pokorą i zachowywały tak, jakby na każdym kroku przeproszały za to, że ośmielają się chodzić po klasztorze. Umysły miały prymitywne, lecz wiadomo że takim душom łatwiej zbliżyć się do Pana, bo żadno samorodne rozumowanie nie zmroziło w nich prostoty pojęcia prawdy. Kiedy siostra Erazma pierwsza wprowadziła do izdebki, pokazała jej klęcznik i uderzając dłonią o oparcie przeznaczone na łokcie, rzekła: „Tu se klękiesz“. I wyszła. Po chwili rozległ się trzask, łomot i jęk człowieka.

„Tu se klękiesz“, pamiętała posłuszna postulanka. Wgramoliła się więc na górną część klęcznika, mniemając w pokorze, że ku większemu umartwieniu w tej to pozycji spowiedź odbyć należy. Deska obliczona na łokcie nie wytrzymała ciężaru postulanckiej wagi. Zlatując, dziewczyna całą siłą wparła się w fioletową zasłonę. Ta pęk-

ła i wraz z dziewczyną runęła na kapelana. On jęknął i jak potem siostra Emilia, zakrystianka, powtórzyła nam zanosząc się od śmiechu, w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć dlaczego głos penitentki dolatuje do niego spod powały, kiedy powinien znajdować się na wysokości jego twarzy.

Długo, długo historia krążyła po klasztorze przechodząc z domu do domu, z pokolenia na pokolenie i może do dziś dnia jeszcze krąży, jeżeli klasztorowi chociaż w części wolno spełniać rolę, jaką odgrywał kilkanaście lat temu.

Wypadek drugi zdarzył się w czasie pierwszej spowiedzi „małych“. Przystosowaniem dzieci zajmowała się znów siostra Macieja. Ile wtenczas było biegania z jednej klasy do drugiej, ile lęku i wzruszenia — tego na wołowej skórze by nie spisał. Wreszcie dzień wielki nastał. Siostra wprowadziła do kaplicy stadko zbiegających dziewczątek. Przyklekła, przeżegnała się, następnie usadowiła dzieci w ławkach i biorąc za rączkę Tulę, która szła na pierwszy ogień, wpuściła ją do izdebki. Cisza. Nawet szept nie dolatywał przez drzwi na wpół otwarte. Wreszcie po dłuższej chwili na progu zjawiła się penitentka. Bielsza była od własnego kołnierzyka.

— Już? — zapytała Macieja podnosząc się z klęczek.

— Siostro — usta Tuli trzęsły się jak kisielek żurawinowy, a szept był tak donośny, że rozsypał się po całej kaplicy — siostro, nie dostałam rozgrzeszenia.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niej, tylko „duże“, te doskonałe, spojrzawszy na siebie znacząco, pełne taktu wnet zaczęły młodszym dawać znaki, żeby się nie oglądały.

— Tulu, co ty mówisz! — z kolei rozległ się szept Macieji — Co ksiądz kapelan powiedział?

— Nic nie powiedział, tylko nos wycierał.

— A coś ty powiedziała?

— Wszystko. Ile mam lat i że pierwszy raz i że Panu Bogu Wszehmogącemu, a ksiądz kapelan nic, tylko nos wycierał! — bliska płaczu była.

— A czyś powiedziała, że jesteś przy konfesjonał?

— Tego nas siostra nie uczyła.

— To idź raz jeszcze. Przecież ksiądz kapelan nie słyszał.

— Sama nie pójdę.

I tak dobra siostra Macieja klęcząc obok penitentki, nieledwie sama musiała się przyznać jak to przez łakomstwo wyniosła z refektarza kawałek chleba, choć głodna wcale nie była; jak to ze złości uszczypnęła koleżankę, a kiedy wszystkie szły do ogrodu schowała się do szafy; i o tym, jak nie nauczyła się tabliczki mnożenia i jak śmiała się z Zosi, kiedy ta w nocy zjechała z nocniczka zostawiając na podłodze mokrą plamę, co ze strony Tuli było jawnym grzechem przeciwko czystości. O wszystkim dowiedziała się dobra siostra Macieja. Wychowanki nie miały przed nią tajemnic.

Dziecinne grzechy przeciwko łakomstwu i czystości. Najbardziej chyba niewinne, jakie natura stworzyła. „Ukradłem śliwkę z placuszka...“, „W Wielką Sobotę, przed Rezurekcją, polizałam gorącą jeszcze szynkę...“. W lata później, pomagając

(Dokończenie na stronie 8)

Gu. P 36435

GOREJĄCY KAMIEŃ

Noc bezksiężycowa. Chmury i wiatr. Wyjeżdżamy po drugiej by zdążyć do Dover na pierwszy ranny statek. O tej porze Londyn jest cichy i pusty jakby stolica wymarłej cywilizacji która odchodząc zapomniała pogasić światła. Ale i one nie są świadkami życia. Przeciwnie: z wysokich latarni na Whipps Cross żółty blask oblewa trupią poświatą drzewa, asfalt, motor i nas. Kilka lat temu o tej mniej więcej godzinie nocy jechaliśmy tędy w tym samym co i dziś kierunku: na Dover. Ale wtedy było nas więcej. Cóż: Jurek ożenił się, odpadł. Staś wyjechał do Stanów Zjednoczonych, inni...

Ale my, we dwóch, wbrew nieprzyjaznemu nurtowi czasu, który uparcie, po strzępie wydiera nam młodość, mimo odpadnięcia dawnych towarzyszy, mimo deszczu którym nabrzmiewają chmury, naprzekór złemu złotemu światłu, wyruszamy w drogę. Dopóki pulsuje prędkim, równym rytmem motor, dopóki trawi nas głód świata, dróg otwartych, nieznanego, nie odstraszy nas od podróży lęk ani zmęczenie. Jeszcze pół godziny a rozstąpią się domy i rzędy latarni nie nadążą w pościgu. Dalej zamajaczy zdala wieża rochesterskiego zamku, po lewej cień Canterburyjskiej katedry, a zresztą tylko łagodne wzgórza Kentu, drzewa przydrożne, wędrowny wiatr. Potem już Kanał — może trochę snu na statku i prosta droga na południe.

Azay-le-Rideau

Wczoraj przyjechaliśmy tu o piątej — na chwilę po zamknięciu bram pałacu. Przenocować tu czy o sto kilometrów na południe — na jedno wychodzi. Przy tym zbiera ochota by zobaczyć jednak ten zamek-cacko, pałac-kaprys znany od dawna tylko z opisów i fotografii. Janusz — mój towarzysz — nie protestuje bo choć śpieszno mu do Hiszpanii, przecież czuje już trochę w kościach ostatnią, prawie nieprzespaną noc i tych kilkaset bądź co bądź kilometrów. Zresztą by zobaczyć zamek — przynajmniej z zewnątrz — nie trzeba czekać do rana. O dziewiątej otwiera się brama. Kamienny duch, wywołany światłami z letniej nocy wychodzi nam na przeciw, brodząc po kolana w leniwych wodach Indre: Son et Lumiere.

Tekst widowiska trochę banalny, naszpikowany tanimi efektami, wyraźnie obliczony na małowieszczanski sentymentalizm. Zato gra światła wynagradza ułomność i nadmierność słów. Wydobywa i uwypukla ozdobne zwieńczenia facjat, smukłe baszty udające — z wielkim zresztą urokiem — obronność, doskonale proporcje architektonicznych podziałów.

Dziś obejrzelismy wnętrze. W blasku słońca wygląda mniej pięknie. Kilkanaście dobrych obrazów, niepospolita kolekcja tureckich fajansów z XVI/XVII wieku zwanych popularnie, „rodyjskimi“, bo-

PODRÓŻ PO UŚMIECH ŚREDNIOWIECZA

gate plafony i kominki, zabawne płaskorzeźby, dobre stare meble. Wśród nich sekretarzyk pokryty kopiami słynnej serii miedziorytów Jakuba Callota „Okropności Wojny“ wykonanymi w kości słoniowej. Wreszcie klatka schodowa której kasetonowy sufit zdobią rzeźbione portrety królów i królowych Francji — jakby prototyp stropu „Sali Poselskiej“ na Wawelu. Mówię: prototyp, bo jest od krakowskiego wcześniejszy o kilka lat.

W czterech rogach sklepionej kuchni symboliczne rzeźby służące za podpory łuków. Szczególnie jedna, przedstawiająca zazdrość, pełna jest wyrazistego znaczenia. Symbol proroczy: Filipa Barthelet i jej małżonek niedługo cieszyli się wzniesioną dla siebie rezydencją. Intrygi dworu ściągnęły na potężnego finansistę zasłużoną zresztą niełaskę: komisja sprawdzająca jego rachunki znalazła poważne defraudacje. Bastylia i konfiskata dóbr ukoronowała błyskotliwą, awanturniczą karierę. W swoim czasie upadek spryciarza pobudzić musiał namiętności. Załowano go pewnie, oskarżano, broniono, w zależności od drobnych interesów i koniunktur. Ale w perspektywie czterech i pół wieków wiele spraw maleje, bardziej skłonni jesteśmy do pobłażliwości. A gdy, odchodząc aleją ze starodrzewu odwracamy się by raz jeszcze spojrzeć na zamek, pobłażliwość przeradza się we wdzięczność. Piękno bowiem, szczególnie trwałe piękno dzieł sztuki, to ma do siebie że miesza niekiedy szyki logiki i psuje suchy rachunek sprawiedliwości.

Olite

Tu kiedyś było niespokojne, warowne serce Nawarry. Wieże, bramy, mury ogromnego zamku królewskiego rzucają cień na miasteczko gwarne i przyziemne, na wodopój do którego cisną się potulnie szare osły, na Santa Maria la Real — wczesnogotycki kościół o podwórku oprawionym w krużganki i o portalu obrosłym gęstwiną średniowiecznej wyobraźni. U stóp Matki Boskiej której ozdoby tron wypełnia całą wysokość tympononu kłębi się wśród skamieniałej roślinności świat mitologii i baśni. Dwie postacie na lwach wyciągają ku sobie pieśczośliwie ręce, a i lwy obłaskawione i poczciwe tulą się do siebie czule. Wszystko razem wygląda jakby żartobliwy komentarz do słów psalmisty: „... na lwa srogiego bez obrazy siedzisz...“ Obok syren, hydr i centaurów Sciapod — legendarny mieszkaniec Indii zaopatrzony w jedną tylko, ogromną stopę której (z racji panujących w swej

oczywiście upałów) używa jako parasola dla osłony przed słońcem. Sciapod przypadł jakoś do gustu średniowiecznym artystom: spośród tych które sobie przypominam szczególnie udany zdoł portal katedry w Sens a niedawno spotkałem w Hereford malowanego, na bogato ilustrowanej „Mappa Mundi“ z końca XIII wieku. Z uśmiechem patrzę na potworka który uparcie wznosi monstrualną nogę jakby nie dowierzał cieniowi zamku który go chroni przecież skutecznie przed popołudniowym słońcem Nawarry. Ale patrzę nie tylko z uśmiechem: także z dumą. Brat rodzony tamtych z odległych katedr Francji i Anglii zaszczytnie świadczy o jedności średniowiecznej Europy gdzie pomysły, myśli, legenda wędrowały swobodnie z kraju do kraju pielęgnowane przez mnichów, rycerzy i pielgrzymów.

Kościół wciśnięty jest w mury zamku. Krążymy do zachodu słońca po ogromnej budowli fortecznej gdzie surowa warowność splata się z intymną elegancją krużganków i zacisznych podwórców. Z okien „Wieży Czterech Wiatrów“ widać ruchliwy, mały świat. Tu jest cisza i namysł. Przeszłość? Nie, raczej wiekiusta terażniejszość.

Tudela

Katedra w Tudeli łączy szczęśliwie romańszczyznę z budzącym się nieśmiałym gotykiem. Wyrosła z meczetu i do dziś spod ciężaru średniowiecznej prostoty wygląda gdzieniegdzie utrwalony w kamieniu i drewnie mauretański kaprys. Kapitele romańskich krużganków opowiadają o dziejach świętej Rodziny ale zawile arabeski milczą. Uśmiechają się tylko uśmiechem barwy i geometrii.

Od katedry rozbiegają się kręto stare uliczki. Wnętrza domów wypełnia codzienność. Nuda urzędów, zgiełk i odór mieszkań. Ale fronty nie straciły sędziwej świetności. Dawne pałace wysuwają nad ulicę wspaniałe rzeźbione okapy. Najozdobniejszy z nich jest rozbity na głębokie kasetony podtrzymywane rzeźbami przedstawiającymi chłopców o groteskowych pozach. Jeden gra na małym różku, inny niedbale trzyma książkę, któryś odwrócił się do ciekawych widzów wymownie a sprośnie.

Guadalajara

Wczoraj przed samym zachodem mijaliśmy Torija. Wyjeżdżającym z poza zakrętu ukazał się nagle czerep zamku, widmo rudo płonące. Zamek który odegrał ważną rolę w wojnie Kastylii z Nawarrą w XV wieku został odbudowany w XVI i otrzymał typowo renesansowy kształt. Wysadzono go w powietrze w 1811 roku czasu wojen napoleońskich ale do dziś mury i napęły zrujnowane wieże pyszną się blankami i wieżyczkami. Oprawiony w zieleń drzew rozjaśniony zachodzącym słońcem zatrzymuje nas na chwilę. Siadamy przed przydrożną knajpą nad kawą i koniakiem. Wprędce nawiązuje się rozmowa z parą zajmującą sąsiedni stolik. Ona okazuje się Andaluzijką, on Kubańczykiem zamieszkałym od dawna w Hiszpanii. Zawód wędrownego kontrolera przemysłu zapalczanego wypo-

sażył go w cenną dla nas wiedzę: Zna doskonale hotele i restauracje w prowincjonalnych miastach, oraz stan dróg.

W czasie rozmowy spojrzałem na zamek. Zgasł, szerniał, odwrócił się ku nadchodzącej nocy. Nim wchłonęła go ostatecznie, odjeżdżamy na południe, wiekiem dwudziestym. Ale wiek nasz w Hiszpanii kończy się co chwila, rwie i strzępi jak koszmary sen, pełen chaosu i bezsensu.

Guadalajara jak każde prawie małe miasto hiszpańskie ma swą chwilę błyskotliwej ruchliwości gdy barwny tłum wylega na deptak, między dziewiątą a jedenastą wieczorem. Grupy dziewcząt, chichotanie, jasne wnętrza kawiarni, szelest perkalu i nylonu, wszystko to jak pstra kurtyna przed spektaklem. Z rana, boczną furtką, wchodzimy do pałacu del Infantado, przez szereg wieków rezydencji możnej rodziny Mendozów. Pałac wzniesiony w drugiej połowie XV wieku był świadkiem wielu niecodziennych wydarzeń. Goszczono tu — co prawda przymusowo — Franciszka I gdy dostał się do niemiecko-hiszpańskiej niewoli przegrawszy bitwę pod Pawią. Tu także odbył się ślub Filipa II z księżniczką Izabellą de Valois. Tę wspaniałą młodość okupił pałac gorzkimi doświadczeniami w wieku XIX i XX. Zrabowano go w czasie wojen napoleońskich a spalono i napoty zburzono podczas walk o Madryt, w czasie wojny domowej.

Ruina, ogołoczone ściany, gdzieniegdzie ślady malowideł. Ale patio otoczone piętrowymi krużgankami uginającymi się od ozdób zachowało, albo raczej odzyskuje swą dawną świetność. Prace restauracyjne prowadzone są z cierpliwością, pieczołowitością i znanstwem.

W hiszpańskim renesansie w ogóle, a tu w Guadalajarze szczególnie, zdumiewa umiejętność zorganizowania bogactwa form w harmonijną całość. Rzecz można: umiar nadmiaru. Rzeźb, ruchu, ozdoby jest masa, aż dziw że tyle udało się zmieścić w ograniczonej przestrzeni, a przecież nie za wiele. Każdy fragment jest wymowny, opowiada niefrasobliwie własną anegdotę, czy bajkę. A przecież wszystko razem śpiewa zdyscyplinowanym chórem. A przy tym ani śladu ciężkości. Masa kamieni biegnie w górę bez wysiłku, jakby porwana uniesieniem. Ciemne siły podniosły łapy na ten przybytek zawilego piękna. Na próżno. Wydaje się że same głązy wracają potulnie na swe miejsce posłuszne ładowi nakreślone przez artystę.

Droga do Cuenza

Od dawna — w czasie naszych hiszpańskich wypraw czy też w ciągu zimowych wieczorów gdy to wyciąga się sfatygowaną od częstego użytku mapę i planuje przyszłe wakacje — od dawna wśród rozmów padało słowo „Cuenca“, albo z łacińska Conca. Zawsze jednak mówiło się: „później, kiedyindziej...“ Odstraszało i to że jakby nie jechać — zawsze z drogi, i stan szos dojazdowych, jak z mapy wynikało „białych“, w dodatku zakreskowanych czerwono — znak groźny i dla podróżnika i dla motoru. Samo już jednak spięt-

(Dokończenie na stronie 6)

OBIECUJĄCY

SPÓZNIŁEM się nieco na imieniny do Ciotczyńskich. Otwierając mi drzwi, pani domu kokieteryjnie pogroziła mi pięćdziesięcioletnim paluszkiem.

— A, niedobry, niedobry! Myśleliśmy, że pan już o nas zapomniał.

— Jakżeby to było możliwe! Ale, pani rozumie, ta londyńska komunikacja... — bronilem się, wciskając w nieoporne dłonie odpowiednich rozmiarów pudło z czekoladkami.

— No, tym razem panu wybaczę. Dobrze, że pan przyszedł. Jest Kropkiewicz — pan zna Kropkiewicza, prawda?

Ze wstydem wyznałem moją ignorancję.

— No, wie pan! To jeden z najbardziej obiecujących ludzi na naszym terenie. Takie możliwości... Musi go pan poznać — tu pani Ciotczyńska wprawnie wpilotowała mnie do salonu.

Wiedziony genialną intuicją, od razu zorientowałem się, że pan w dobrze już średnim wieku o niezmiernie znużonej twarzy, otoczony gronem ożywionych pań, to właśnie Kropczyński. Zainteresowany, przyłączyłem się do tego grona. Rozmawiano o wystawie Picassa.

— Przyznam się, że nie bardzo rozumiem jego późniejsze obrazy, ale okres niebieski i różowy po prostu ubóstwiam — egzaltowała się pani o wyglądzie wyglodniałego sępa.

— Nie mogę się z tym zgodzić — zaproponowała druga — przecież dopiero później zaczynają się jego poszukiwania formy.

Kropkiewicz ziewnął dyskretnie i powiedział znużonym głosem:

— Owszem, Picasso nie jest zły. To jest — poprawił się — nie był zły. Ale gdybym ja tylko miał czas... Moje obrazy na wystawie szkolnej w Pościeliskach Dolnych wzbudziły sensację. Rokowano mi olbrzymią przyszłość. No, ale potem przyszła wojna... A teraz brak czasu.

Z podziwem spojrzeliśmy na drzemiący talent tej miary. Po krótkiej ciszy pani-sęp niezmordowanie napoczęła następny przedmiot kulturalny.

— Anglicy się po prostu entuzjazmują ostatnio tłumaczoną książką Andrzejewskiego o inkwizycji. Czytał kto z państwa?

Dwie osoby czytały. Zawrzała zażarta dyskusja. Kropkiewicz obojętnie przysłuchiwał się jej przez jakiś czas, a potem rzucił niedbale:

— Owszem, Andrzejewski nie jest najgorszy. Ale gdybym ja miał czas! Moje pierwsze rzeczy w „Gońcu Pościeliskim“ były absolutną rewelacją. Moje opowiadanie w jednodniówce Kursu Podchorążych jednogłośnie uznano za *tour de force*. Ale ta wojna... A potem znowu brak czasu.

Westchnęliśmy. Tak, ta wojna i ten brak czasu. Co za pech! Takie zdolności! Pani-sęp poszarżowała po następnym torze:

— Kto z państwa był na ostatnim występie Fu-Tsonga? To zdumiewające, jak taki Chińczyk może się wczuć w Szopena.

Kilka osób, świadomych rzeczy, skrzyżowało opinie na temat Fu-Tsonga. Kropkiewicz przymknął powieki. Wyglądało na to, że po prostu drzemie. Nagle otworzył oczy i stanowczo zabrał głos:

— Fu?Tsong nie jest wcale taki najgorszy. Ale za dużo wagi przywiązujemy do osiągnięć wirtuozów. To przecież głównie kwestia warunków. Ja, na przykład, uczyłem się grać na pianinie przez rok i ciotka rokowała mi ogromne możliwości. Żeby państwo słyszeli, jak grałem „Kwiatki powiedzcie jej“ z „Fausta“ w układzie na cztery ręce! No, ale przyszła wojna... A teraz ciężko z czasem.

Zamilkliśmy, przygnębieni takim marnowaniem się talentu. Nawet pani-sęp nie miała odwagi zahaczyć o następny temat. Zdecydowałem się mówić o czymś obojętnym.

— Udała się nam ta olimpiada, prawda? — powiedziałem pogodnie. — Cztery złote medale, to nie w kij dmuchał.

Kropkiewicz spojrział na mnie z politowaniem.

— Gdy wygrałem skok w zwyż na zawodach szóstej klasy gimnazjalnej w Pościeliskach nasz nauczyciel gimnastyki powiedział: „Pracuj nad sobą, a przywieziesz do kraju złoty medal olimpijski“. Ale później było brak czasu, no i ta wojna...

Zrobiło się nam wszystkim żal tego niezdobyczego złotego medalu. Próbowaliśmy jeszcze mówić o życiu organizacyjnym, ale się okazało, że i tutaj Kropkiewicz rokował znakomite nadzieje, jako członek Komisji Rewizyjnej Związku Byłych Absolwentów Gimnazjum Państwowego w Pościeliskach Dolnych. Niestety, wojna i brak czasu stanęły na przeszkodzie pełnemu rozwojowi jego zdolności w tym kierunku.

Opuszczałem imieniny pod głębokim wrażeniem niesprawiedliwości dziejowej.

— Prawda, jaki to obiecujący człowiek, ten Kropkiewicz? Takie wszechstronne zdolności! — powiedziała do mnie pani domu, podając mi dłoń na pożegnanie.

— A co on teraz robi? — zapytałem ze szczerą ciekawością.

— Wstyd powiedzieć — pracuje w paczkarni firmy eksportowej.

Oburzyłem się.

— Jak to? Przy takich zdolnościach?

Ciotczyńska spojrziała na mnie zgorziona.

— A cóż się pan dziwi? Trudno wymagać, żeby tak utalentowany człowiek uczył się angielskiego, czy buchalterii. Takim ludziom społeczeństwo powinno zapewnić właściwe warunki do rozwoju. Ale co zrobić — najpierw wojna, a teraz ten brak czasu...

Zgodziłem się skwapliwie.

SYMFONIA

TATR

Oplątano ją słowami, oplątano myślami bez znaczenia,
Lecz jest wielka tajemnica, którą oddycha ziemia...
Wobec potęgi czerwieni, którą niebo goreje
Czemże są złudne radości i czym są ludzkie nadzieje?
Drobne są nasze smutki, nasze strapienia i troski
Wobec ogromu natury i jej wszechwładzy mistrzowskiej.
Wszystko się w sposób przedziwny na ziemi spleta, rozpala
I niczym są nasze hymny wobec oddechu wszechświata.

O zmierzchu i o poranku
Ziemia bezustanku
Oddycha...

Białe stada baranków
Chmura cicha

Płynie ku szczytom gór,
A tam znów wicherów chór
Na perciach nagich i na szczytach,
Tam, gdzie szarotki kwiat rozkwita,
Gdzieś nad kaskadą rwącą, dziką
Rozbrzmiewa żalem i muzyką
Ponad głowami skał...

Księżyc się wznosi — bańka
szklana...
Dolina blaskiem wysrebrzana
Podnosi czoło w świat daleki
I cichym szmerem szemrzą smreki;

Opowiadają klechdy stare,
Romantyczności się oparem
Okrywszy jak opończą białą,
Co z mgieł utkana i leniwa
Powoli do stóp smrekom splywa,
A potem wplata się w potoki,
Aby z oddechem ich szerokim
Powlec za sobą żal...

Gdzieś dzwonki słyszeć — głosy hal,
A im do wtóru góry dzwonią

Nad uroczystą wody tonią,
Co w pięknie swoim skamieniała
Ukryła duszę ludzką w skałach,
I gdzie głaz czarny i opoka
W snach pogrążona i głęboka,
Albo rzucona na urwiska
Jak klejnot blaskiem swym rozbłyśka
Kiedy się rodzi dzień.

Dzień zwiastował już obłoki,
Gdy ponad czołem gór wysokich
Różanym światłem wzeszły nagle
I rozpuściwszy jasne żagle
Po szlakach złota i purpury
Wpływały jak w zatokę — w góry.

Już się szarotka obudziła,
Już pierwszą kroplę rosy piła,
Popodnosiły smreki głowy,
W tęsknocie czeka las bukowy
I niby iskra gdzieś w popiołach
Trawy się budzą, szemrzą ziola,
Borówki śpiące na murawie
Usta podnoszą swe ciekawie
I gdzieś nad skalną, stromą drogą
Zaszumi limba zamyślona,
Jedynie zbudzić się nie mogą
Głazy na szczytach, co w swych

tonach

Zamknięty mają sen odwieczny
O sensie życia ostatecznym.

Na próżno pragną dźwignąć głowy
Kiedy je muśnie płomień płowy,
Co się z za czarnych skał wymyka,
Ich już nie zbudzi głos strumyka,
Który ciekliwe swoje wody
Poprzez omszałe wiedzie schoły
Aż na dno dolin w głąb zieleni,
Aż słońce w kryształ je zamieni,
Aby w tężowym rozhovorze
Szumiały życiem — blasków morze.

Na cyplu stanie senny jelen
Zdumiony patrząc w błękit świeży,
Kosodrzewiny krzew się ścięte,
Pachną maliny, krzaki jeżyn,
A w przezroczystej, sinej dali
Już wielkim blaskiem dzień się pali.

Tam pachnie smółka i tymianek,
Krwawią się głogi — leśne róże,
Tam łany owsa kotysane
Palcami wicherów przez podgórze
Swą pierś szorstką się wspinają...
Tam w gęstwie zboża przemknie zając,
By nieuchronnej ujść pogoni,
A w biegu swoim o źdźbła dzwoni,
Aż wszystkie kłosa pełne, płonne
W głos jeden dzwonią mu podzwonne.

Tam płyną niby fale białe
Stadami owce w potoniny,
Fujarki nucą już nieśmiałe
W zielonych polach koniczyzny,
Śpiewem zanosi się polana
Jasnością słońca wytlacana,
Koniki pełne, bąki, trzmiele
Urodę życia i wesele
Stawia w zielone płynąc morze.

...A nad turniami wzbił się orzeł,
Ponad spiętrzone wzbił się złoty,
Tam banią szklaną — atmosfera,
Na skrzydłach zawisł nieruchomy,
Z wyżyny nieba w dół spojiera
Podobny wielkiej białej chmurze
Wyzwanie rzuca w świat — naturze.

GOREJĄCY KAMIEŃ

(Dokończenie ze strony 3)

rzenie trudności czyniło to miejsce godnym pożądaniam: „Wiesz, mieszczuchy szanują swoje Fordy, Citroeny, Mercedesy ... nie będzie ich tam na lekarstwo“ — „Słusznie. A nawet jak będą to z tych co to dają się lubić“ ... I tak dotarcie do Cuenca stało się dla nas sprawą honoru, koniecznością tegorocznej wyprawy. Niech pękają szprychy, niech diabli wezmą amortyzator wstrząsów ... Postanowienie zapadło. Z Guadalajara skręcamy w kręte, boczne drogi. Mapa okazuje się niedość dokładna i zdani jesteśmy raczej na informacje uzyskiwane przy winie od przydrożnych oberżystów. Zawile, powoli, ale bez złych przygód dojeżdżamy do Huerte. Miasteczko klasztorów i kościołów, szczątków zamku, pieczar używanych jako śpichrze i stajnie ... Gdy spojrzeć z zamkowego wzgórza w dół, na szarą gęstwinę dachów przypominają się słowa warmijskiego biskupa-bajkopisarza:

**W mieście (gród, ziemstwo trzymało albowiem
Stare zamczysko, pustoty ohyda)
Były trzy karczmy, bram cztery ułamki,
Klasztorów dziewięć i gdzieniedzie domki.**

Kaplica na starym cmentarzu opuszczona jest i w ruinie. Wśród wysokiej trawy i zatartych napisów nagrobnych poniewierają się ułamki rzeźb gotyckich oddane na przelotny przytułek jaszczurkom i konikom polnym. Schodząc ku czekającemu przy szosie motocyklowi spotykamy kobietę która zaczyna z nami rozmowę. Do starożytności swego miasta odnosi się z szacunkiem, dumą, ba!, trochę z zabobonną czcią. Wskazuje na ruiny zamku: tak są stare że arabska baszta dziś nieistniejąca, zdażyła pozostawić w przestrzeni trwałe ślad. Niekiedy widać ją wyraźnie choć przecież jej nie ma — widać naprawdę! — nasza informatorka gotowa jest na to przysiąc! Mimo woli spoglądamy w górę. „Dziś nie — powiada kobieta — dziś wiatr przeszkadza“. Zawiedzeni ruszamy w dalszą drogę. Po godzinie dojeżdżamy do Cuenca.

Cuenca

Miasto wejścię między dwa urwiste wąwozy rzek Jucar i Huecar piętrzy się w górę by po przeciwnej stronie wzgórza zawisnąć nad przepaściami masą ozdobnych balkonów, wież, okapów. Z tych domów, do dziś zdobnych herbowymi kartuszami starych i znakomitych rodów, pod koniec XV i w XVI wieku wyruszyli tłumnie młodzi ludzie głodni przygód i złota, ku brzegom Nowego Świata. Alonso de Ojeda — towarzysz Kolumba i Andreas Hurtado de Mendoza — wicekról Peru byli — jak i wielu innych konkwistadorów — synami tego cichego dziś miasta.

Stare, zamyślane uliczki wiją się wokół katedry — znakomitego zabytku wczesnego gotyku. Prosty plan architektoniczny da się jeszcze i dziś odczytać choć każdy wiek dorzucał coś do pierwotnej budowli. Kaplice o renesansowym i barokowym wy-

stroju, ozdobnie kute kraty, ołtarze, malowidła, rzeźby.

W skarbcu kielichy gotyckie, szlachetne w kształcie, pokryte filigranową rzeźbą, dyptyk bizantyjski ze srebra i emalii urzekający hieratycznym pięknem, niewielka kolekcja świetnych obrazów. Z dwóch dzieł, El Greca „Modlitwa w Ogrójcu“ żywo przypomina i w tematyce i w szczegółach znany obraz tego samego malarza z Galerii Narodowej w Londynie. Drugie — to szkic do „Chrystusa Dźwigającego Krzyż“ znajdującego się w madryckim Prado. Trochę oszołomięni ogromem piękna i kunsztu stłoczonym w kilku małych salkach niemal z ulgą wychodzimy w chłodną przestrzeń naw zorganizowaną strzelistymi łukami.

Nad wejściem do kaplicy „de los Caballeros“ straszy i śmieszy zarazem makabrycznie groteskowy szkielec-śmierć rzeźbione na herbowej tarczy okrytej gronostajowym płaszczem i księżęcą mitrą. Obok wejście do małej ale niezwykle ozdobnej kaplicy de Munoz. Jej sklepienie, łagodnie wypukłe rozbito na 36 kasetonów wypełnionych głowami i popiersiami świętych oraz aniołów-muzykantów. Znowu więc przypomina się strop wawelski, znowu dziwi zbieżność dat. Przy wyjściu z katedry opada nas dzieciarnia, ofiarowując się na przewodników. Odpędzamy ją łagodnie, samotnie ruszamy uliczkami-schodami z wyżyn średniowiecza ku małości i zgłębieniu naszego czasu.

Kanion Jucaru

Od Cuenca na północ, w odległości trzydziestu kilku kilometrów ukryło się wśród sosnowych lasów „Zaczarowane Miasto — La Ciudad Encantada“. Natura bawiła się tu chyba kiedyś, w swoim dzieciństwie w przepowiadanie przyszłych kształtów. Trochę z boku od głównej drogi rozsiadł się okrąg dziwnych skał uformowanych wodą i wiatrem na podobieństwo domów, okrętów, potwornych głów i groteskowych narzędzi. Oglądamy to wszystko z zaciekawieniem ale trochę niecierpliwie. Śpieszno nam wrócić na drogę prowadzącą kanionem Jucaru. Skały narastają tu na siebie, wskakują sobie na ramiona jak tłum sztubaków, ciekawych co się dzieje w dole, wśród cieniów zielononiebieskich. Głazy poprzerastane zaroślami owiewa szum wodospadu. W głębi, na przeciwległym brzegu, wzgórza wyglądające jak galerie rzeźb wczesno-meksykańskich; wyraziste kształty popiersi, głów, twarzy, to uśmiechniętych, to zatopionych w surowej zadumie. „Zaczarowane Miasto“ wygląda wobec tych kolosów karłowato; tam była dziwaczność, tu dziwność. Prawdziwe piękno — w naturze i sztuce — zawsze jest dziwne. Dziwaczność budzi tylko krótkie zaciekawienie, przelotny choć głośny poklask profanów. Dziwność zniewala do milczenia — właściwego tła dla podziwu.

W drodze powrotnej

Od Walencji wkroczyliśmy na dawny, dobrze nam znany szlak: brzeg śródziemnomorski. Brzeg obrosły pięknem, historią. Brzeg jasnej, wielkiej

wody. Ale wielkiej na miarę człowieka. Przychylniej człowiekowi. Przynosiła mu ona sławę, budziła tęsknoty, myśl, uniesienie. Oplukiwała wszystkich bogów naszej europejskiej starożytności, Nad nią także wyrosło chrześcijaństwo — przedtem judaizm — potem islam.

Na tych sześciuset kilometrach wybrzeża — od Walencji do Pirenejów — odnajdujemy ślady, echa wszystkich niemal wzruszeń i umiłowań Europejczyka.

W Colegio del Patriarca pełza do dziś siny płomień który trawił El Greca i świeci łagodnie a mocno klarowne tło „Ukrzyżowania“. Saguntum — otwarty tom dziejów, kamienna ilustracja do trzeźwej prozy Polibiusza. Pogodna plaża w Peniskoli sprzyja wesołemu lenistwu, ale i ona przecież roztacza się u stóp surowych murów zamku Benedykta XIII — ostatniego antypapieża z Avinionu. Ampurias — z iberyjskiej ziemi wykopany skrawek Grecji. Naiwna doskonałość wczesnej sztuki katalońskiej w muzeach Barcelony. A jednak choć tyle tu przeszłości i zadumy — więcej jeszcze uśmiechu. Wesoły jest krajobraz i morze. Uśmiechają się gotyckie Madonny. Rubaszne rzeźby na kolumnach walenciańskiej Lonja pobudzają do wesołości. A najbardziej może ukryty w górnej części kapitelu, w krużganku tarragońskiej katedry „Pogrzeb Kota“. (Urządzają go szczury. Ich radość, celnie oddana przez rzeźbiarza zostaje komicznie przerwana zmartwychwstaniem domniemanego nieboszczyka).

Chwila powrotu do domu zbliża się. Jesień, zima... Pracowite tygodnie i miesiące, długie wieczory spędzone nad książką lub kartkami papieru, zatłoczone wagony kolejki podziemnej w godzinach nasilenia ruchu, ciche sale bibliotek. Wiemy z doświadczenia że często wśród prac i pośpiesznego odpoczynku chwyta człowieka wewnętrzna szarość, złe zwątpienie.

Teraz więc, póki jeszcze czas, uczymy się na pamięć śródziemnomorskiego uśmiechu, staramy się pojąć jego tajemnicę. Nie jest to uśmiech nieświadomości, naiwna, dziecięca radość. Składają się nań doświadczenia tysięcy; Pamięć dobra i zła, namiętności i zadumy, piękna i wszelkiej obrzydliwości. Jest to uśmiech mimo wszystko. Uśmiech wiedzy, nadziei, wiary: w niezniszczalność piękna i mądrości. Bo choćby zło i głupota świata przysięgły się i zjednoczyły w dziele zagłady to przecież ocaleją jakieś fragmenty, okruchy, a każdy z nich wyposażony jest w życiotwórczą moc ziarna. Niezauważony lub zlekceważony przez niszczyciela przetrwa w ziemi czy morzu by zakwitnąć kiedyś doskonałą całością zachwyconym oczom „późnych wnuków“. Morze Śródziemne wie o tym. Na jego brzegach działo się to już nieraz, częściej niż gdzieindziej. Stąd uśmiech — niezawodna broń w walce z codziennością. Oby udało się nam przemycić ją przez kordon surowych celników w głąb powszedniego żywota, między zawodowe kłopoty i uszczypliwość bliźnich.

Mieczysław Paszkiewicz

thm

Przegląd nowości

DANIEL ROPS I GEORGE SAND

Ukazała się w języku francuskim, wydaniem A. Michel, praca Tomasza Manna „Noblesse de l'esprit“. Autor omawia tu wpływ, jaki na jego pokolenie, wywarł Goethe, Wagner, Dostojewski, Tolstoj, Cervantes, Freud i Chamisso. Książka kończy się na chwili, kiedy powieściopisarz, wciąż żywo złączony z „tymi wielkimi duchami“, poświęcił swoje rozmyślenia, opuszcza Europę udając się do Ameryki, na wygnanie.

Wydaniem zaś Fayarda ukazało się nowe dzieło Daniela Ropsa, „L'Eglise des Révolutions“. Dzieło to jest równie pasjonujące jak poprzednie tomy historii Kościoła, autora „Dziejów Chrystusa“. Omawia tu okres, kiedy Europa stanęła w ogniu rewolucji i wojen, a który uważany jest jakoby za okres występujący przede wszystkim przeciwko Bogu. Otóż Daniel-Rops wykazuje, że dziewiętnasty wiek nie jest wyłącznie wiekiem Renanów, de Feuerbachów, czy Karolów Marxów. Dowodzi, że żadna epoka, może nawet od początków Kościoła Chrześcijańskiego nie wydała tylu wspaniałych świętych, jak ta właśnie. Odpiera również twierdzenie, jakoby Kościół sam odgradził się w tym okresie od świata nowoczesnego. Przeciwnie — Daniel-Rops podkreśla, do jakiego stopnia Kościół przyczynił się do budowy „nowego społeczeństwa.“ Na marginesie pracy historycznej, autor maluje również niesłychanie żywe portrety tak świetnych postaci jak: Piusa IX, Lamennais, proboszcza z Ars, św. Jana Bosco, czy Ozanama, jednego z filarów Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo.

Mówiąc o św. Wincentym a Paulo, muszę zwrócić uwagę czytelników na pracę J. Mauduit, wyd. France-Empire, „Saint Vincent de Paul“. Na tle nędzy, pomorów, wojen, zamieszek domowych, jakie znaczą drugą połowę XVI w., postać świętego występuje tym plastyczniej. Książka przykuwa swoją trzeźwą, badawczą obserwacją i równocześnie porywa swoim ogniem. Lecz autor nie mówi o świętym wyłącznie jako o jałmużniku galer. opiekunie podrzutek, czy inicjatorze „służenia biednym“; przede wszystkim podkreśla jego niesłychany talent administracyjny, wielostronne zdolności i wykraczający już poza pojęcie ludzką dar kierowania duszami oraz żarliwość, z jaką święty występował gdy trzeba było bronić prawd chrześcijańskich i Bogu oddać chwałę.

Wchodzimy obecnie w okres Bożego Narodzenia, więc zaciekawi czytelników zapewne i to, że o św. Wincentym a Paulo wyszła również (Casterman) książka dla młodzieży, M. de Saint-Pierre'a, pt. „Monsieur Vincent“, z kolorowymi ilustracjami M. Gerarda.

Coraz to nowi autorzy, coraz nowe książki, a czytelnicy, jak się okazuje wracają jednak z chęcią do dawnych. Dlatego też może Gallimar w

(Dokończenie na stronie 8)

SPOWIEDŹ

(Dokończenie ze strony 1)

synowi w pierwszym rachunku sumienia, sama nie wiedziałam kiedy próba generalna zamieniła się niespodziewanie w gorzkie rozpamiętywanie ciężkich przestępstw. Otworzywszy książeczkę dla dzieci, w której znajdował się spis przewinień dla tego wieku przewidzianych, znalazłam m.in. takie sformułowanie grzechów przeciwko czystości:

„a) Czy nie prowadziłeś nieprzyzwoitych rozmów, lub nie przysłuchiwałeś się takowym?

b) Czy byłeś świadkiem scen nieprzyzwoitych i czy nie przyglądałeś się im z upodobaniem?

Czytałam półgłosem przebiegając stronicami, gdy na dłoni uczułam magle rozpaloną rączkę. Twarz małego była tak zaczerwieniona, że ciemne oczy wydawała się niemal jasne.

— Tak jest, mamusi. Zgrzeszyłem.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam.

— Przysłuchiwałem się takowym.

Zdawało mi się, że znam swoje dziecko ale co można wiedzieć? Dzieciństwo i młodość są chytre jak muchy litewskie. Nigdy nie wiesz, z jakiej komórki zło zabrzęczy.

— Ty, synku?

— Tak. W szkole, podczas przerwy... — czuło się, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło — Leszek powiedział Władkowi... — urwał oddychając ciężko... — Powiedział „żeby cię jasna krew zalała“. Słuchałem i bardzo mi się podobało! — aż opadł na fotelu, taką ulgę przyniosło mu zrzucenie z siebie ogromu przewiny.

— To... to... bardzo brzydko i źle żeś tego słuchał — cóż innego mogłam powiedzieć kiedy śmiech wstrzymywałam z wysiłkiem?

— Ale to nie wszystko, mammo — odwaga ponownie w nim wezbrała — Bo ja... ja przyglądałem się z upodobaniem nieprzyzwoitym scenom.

Czekafam zaniepokojona.

— Raz jak jechałem do szkoły, stanąłem na przedniej platformie. I dwóch pijanych szło ulicą i jak zaczęli się bić, to aż na szyny się zatoczyli i konduktor musiał zatrzymać tramwaj i ludzie się zbiegli, a ja, zamiast się odwrócić, przyglądałem się z upodobaniem. Naprawdę, mamusi... — lzy miał w oczach.

Schyliłam miskę głowę. Jakże się bałam, żeby nie dostrzegł mojej twarzy i ust, których drgania nie mogło wstrzymać.

Piękne, urocze przekroczenia rygorów nałożonych na słabość natury! Czułość sumienia, która z biegiem lat obojętnieje, chociaż w dziecinnym wieku jest tak doskonale wrażliwa! Czemu nie może pozostać taka do końca? Życie było by łatwiejsze a śmierć przyjazna, gdyby człowiek do ostatka zachował ocenę złego i dobrego. Gdyby ludzie to zrozumieli! Niestety, opowieść o Wieży Babel trwa i trwać będzie. Pomieszały się języki, skrzywiły pojęcia — nie można odnaleźć porozumienia.

Teodozya Lisiewicz

PRZEGLĄD NOWOŚCI

(Dokończenie ze strony 7)

„Bibliothèque de la Pléiade“ wydał Rougon-Macquartów Emila Zoli. Pierwszy tom zawiera pięć części. I w tej samej bibliotece ukazała się zapomniana dziś „Histoire du Chevalier Des Grieux et de Manon Lescaut“. Zapomniana, ponieważ oryginał został zatarty przez iks filmów, „Manon“, „Manolescu“ itp. O tym się mówi, lecz nie o jednej z najlepszych powieści XVIII w., w której Abbé Prévost dał właśnie materiał niezliczonej ilości naśladowców. Dzieje lekkomyślnej Manon i romantyka bez woli, jakim był kawaler Des Grieux, znajdują się w I tomie „Les romanciers du XVIII-e siècle“ wraz z Hamiltona „Mémoires du comte de Gramont“, Lesage'a „Le diable boiteux“ i „Gil Blas“.

Garnier też wrócił do dawnej literatury, skoro wydał „Lelię“ pani George Sand. Autorka głośna, później uważana że „traci myszką“, znów znalazła się na półkach księgarskich. I słusznie. Nawet za swoich czasów, mimo rozgłosu, mam wrażenie nie została należycie oceniona. Przecież to świetna pisarka. Przez porównanie z dzisiejszą, chaotyczną twórczością, której zawsze czegoś brak (i to jak brak!), dopiero widzi się, co znaczy konstrukcja książki, staranność i logiczne snucie wątku powieściowego. Co tu mówić — George Sand umiała pisać.

Z lepszych nowości angielskich, a podkreślam to dlatego, że ukazał się szereg książek o charakterze politycznym, jak Herbert Morrison, „An autobiography“, czy „Lord Ismay's Memoirs“, otóż z nowości o lepszym ciężarze gatunkowym, zasługuje na uwagę „Evvie“, Very Caspary, wyd. W.H. Allen, pełna życia opowieść o Chicago z lat dwudziestych. Druga, która powinna zainteresować przyjaciół „wszelakiego zwierza“, a takich sądzę jest wielu, to książka pt. „At home in the Zoo“ Geralda Iles, dyrektora Belle Vue Zoo, który opowiada o przygodach jakie miał z zwierzętami, ptakami i płazami w ciągu 25 lat swojej pracy. Również wydawnictwo W.H. Allen.

Matka do synka:

— Jesteś nieznośny! Ja niedługo posiwieję. A wszystko przez ciebie. Ty mnie wcale nie słuchasz!

— To znaczy, że ty też nie sprawowałaś się dobrze jak byłaś mała. Babcia jest całkiem siwa.

Nowelka misjonarska.

Lew ujrzawszy misjonarza na pustyni rzuca się w jego kierunku. Misjonarz w obliczu śmierci klęka i zaczyna się modlić. Ze zdumieniem widzi jednak, że lew czyni to samo. Klęka ze złożonymi łapami i pobożnie spogląda w niebo. Misjonarz z iską nadziei pyta:

— Lwie, czy jesteś może lwem chrześcijańskim?

— Tak, ojczu. I zawsze modlę się przed posiłkiem.